



Bliźniaczki

Jabłonny Sad, 1821 rok

Bliźniaczki przez całe dzieciństwo brane są za jeden wspólny byt. Współistotny sobie, zrodzony jeden z drugiego w tej samej chwili. Tak naprawdę Anna Konstancja jest starsza o minutę; czy raczej młodsza, bo według rozeznania akuszerki najpierw rodzi się dziecko, które zostało później poczęte. Czyżby więc Józefina Maria pojawiła się pierwsza? Spór godny dysputy teologicznej: Jeżeli Ojciec i Syn nie są *homousios* – „współistotni”, to jakże nazywać ich *consubstantialis* – „z jednej istoty”?

Fizycznie dziewczynki są nie do odróżnienia. Obie wzięły po matce egzotyczną płeć koloru dymu i czarne włosy, tak gęste, że przy rozczesywaniu utykają w nich zęby każdego grzebienia. Siwe oczy, wydatne nosy pod wypukłymi czołami to spadek po rodzinie ojca – hrabiostwu Jabłońskich. Usta duże, ciemne, niepokojąco

zmysłowe – znowu matka. Trudno powiedzieć o dzieciach, że są ładne. Raczej inne; twarze ciekawe, które należy czytać jak powieść awanturniczą. To z niecierpliwością rozcinając kartki srebrnym nożykiem, to z ukontentowaniem śliniąc ich rogi. Anna Konstancja, Józefina Maria – panienki Jabłońskie. Dzieci, chociaż w słowie „dzieci” zawiera się też osoba ich starszego brata Teodora Floriana. Dziewczynki więc dla wszystkich w Jabłonnym Sadzie pozostaną właśnie bliźniaczkami.

Dworek słynie z biesiad, ale już nie z balów. Tu się nie tańczy – nie pozwalają na to głęboka wiara hrabiny Pauliny Walerii, zwanej przez bliskich Paulette, oraz kalectwo jej męża Jana Zygmunta. Hrabia, były legionista, własną stopę zostawił na San Domingo. Niejako zapłacił nią za miłość do Pierwszego Konsula. I za miłość do Kreolki Paulette.

Służba przyzwyczała się już do egzotycznego wyglądu Pani, która nie układa anglezów, tylko smaruje głowę wodą z cukrem, szczesuje włosy do tyłu i spina je w kok na karku. Robi to sama albo pomaga jej czarna pokojówka Tituba, która przybyła z Państwem z kolonii. Nikomu innemu Pani nie pozwoliłaby się nawet dotknąć; często Jan Zygmunt natyka się na nie, jak pochylone ku sobie szepczą w gardłowej francuszczyźnie. Nie podoba mu się to. On sam zapomniał, jak pachnie ciało jego żony za uchem, pomiędzy piersiami, a schylona Czarna swobodnie wdycha ten zapach... Trójka dzieci i basta! – powiedziała swego czasu hrabina mężowi. Wydaje się jej, że jest dobrą matką, ale to nieprawda. Brakuje jej cierpliwości, brakuje czasu na cierpliwość. Nikt z sąsiadów jednak nie powiedziałby, że Jabłonny Sad jest nieszczęśliwym dworem. Raz do roku wszyscy w okolicy dostają zaproszenie na szczególną biesiadę. Berlinki oraz zwyczajne wozy parkują w rzędach przed dworkiem o czarnych drzwiach, ciemnych okiennicach, którego jedną ścianę zarasta purpurowe dzikie wino. Tymczasem w kuchni czyni się ostatnie przygotowania, a Paulette w sypialni na piętrze pilnuje, by

bliźniaczki zmówiły pacierz i w białych płóciennych koszulkach poszły spać. Ich starszy brat z sypiącym się już wąsem przyjechał w odwiedzinę ze szkoły (kształcił się w Warszawie), oczywiście pozostaje na wieczerzy. Paulette pochyla się, śniada dłonią przytrzymując szpilki w koku, całuje bliźniaczki na dobranoc. „One nigdy już nie zaznają takiego szczęścia jak teraz, gdy są dziećmi”, myśli sobie, patrząc, jak córki odpływają w sen. Później spryskuje się wodą kolońską, pudruje i rusza u boku męża przywitać gości. Mężczyźni ją adorują – to nic nowego. Błądzi wzrokiem po brodatych twarzach, ocenia kobiece fryzury, wpięte w nie perły, wczesane – u panien – białe wstążki. Dziewczęta i adoratorki mrocznego Teodora Floriana. Wzdycha. Mąż prosi do stołu.

Ramiona kobiet drżą, chłód przenika pod bufiaste rękawy.

Mężczyźni pokrzykują:

– Obudź się, obudź, indyku panie, zaraz się zaczniesz spożywanie.

Obudź się, pijany indyku, obudź się w strachu i krzyku.

Kucharze otwierają z trzaskiem drzwi jadalni, wnoszą indora na tacy – jak na tarczy. Roznosi się zapach pieczystego. Szyja i fragment piersi ptaka nie są oskubane, mokre od stopionego lodu, blade korale lekko się trzęsą, białka oczu zasnuwają się mgłą.

Oprócz gości tę procesję potraw i dodatków obserwuje z zapartym tchem rozespana bliźniaczka, która ukryła się pomiędzy kredensem a uchylonymi podrzędnyimi drzwiami.

Sparaliżowany, na wpół usmażony indyk budzi się, nim zajmie swe miejsce na stole. Krzyczy agonicznie. Nie zabrudzi stołu kałem, bo wcześniej przepłukano mu jelita wodą. Ta śmierć, trwająca przecież chwilę, dłuży się w nieskończoność. Jakaś kobieta klaszcze, inna mdleje. Indykowi staje serce, głowa opada jak zwiednięty kwiat. Na to ugięcie, więcej mówiące niż wrzask, bliźniaczka wyskakuje z kryjówki.

– Anno Konstancjo?! Józefino Mario?! – Matka unosi się znad stołu.

- Nie rozróżniasz ich, Paulette? – pyta sąsiadka. Jest ciekawska.
- Wiązałam im różnokolorowe wstążki na nadgarstkach, ale szybko nauczyły się na nie zamieniać.
- Ach, tak – kobieta cmoka z udawanym współczuciem.
- Wiem, jak je rozróżnić, mamó – odzywa się Teodor Florian.
- Jak? – hrabia bierze nożyce do mięsa.
- Po zapachu. Rozróżniam je po zapachu.

Chuda i długonoga jak źrebię dziewczynka wybiega z jadalni; dalej słychać tylko jej głuche kroki na dębowych schodach prowadzących na piętro. Jej samej to tupanie wydaje się niezwykle ciche, bo serce tak głośno bije. Zagłusza wszystko z wyjątkiem smutku wcielonego w indyjski krzyk. Będzie ją budził w nocy.

Jest młoda i pewnie dlatego wydaje jej się, że poczucie istnienia – własnej odrębności – przychodzi z melancholią. Do augustiańskiego „Jestem, więc Bóg istnieje” oraz kartezjańskiego „Myślę, więc jestem” jedenastolatka dokłada „Cierpię, więc istnieje”.

Długa szyja, czarna grzywa, kościste łokcie i kolana, piersi ostatnio nabrzmiewające wokół drobnych sutków.

Z gardła nocnego ptaka wyrывa się pisk, kiedy dostrzeżę przed sobą ducha. W ciemności uderza wyciągniętymi obronnie rękoma – jak ci, którzy odruchowo kryją głowę przed lecącym głazem. Tafla lustra wytrzymuje cios małych piastek, a jego zimno – nawet teraz, w upalnym maju – ocuca ją. Trzeźwi. Przygląda się sobie. Ciemnej buzi z oczami jak guziki; guziki, które we wczesnym dzieciństwie tak lubiła gryźć (jej bliźniaczka – nie). Pieprzyk, który w rzeczywistości nosi nad prawą powieką, spogląda na nią z lewej strony. „Siostra ma identyczny”, myśli. Jej obecność zaczyna przybierać konkretny kształt. Coś się przebudziło. Dziewczynka drży z podniecenia.

„Jakie jest moje miejsce w świecie? Nawet jeśli całym światem jest Jabłonny Sad?”

Materiał jak wąż ociera się o czarną boazerię. Dłoń dotyka rucliwej łopatki. Jakaś inna ręka.

W odbiciu pojawiają się bliźniaczki.

– To ty?

– To ja.

Przepis jest tajemnicą przypominaną oględnie, acz cynicznie: jak dykteryjka o Parsifalu i Świętym Graalu. By nie pozwolić pojąć, ale i nie dać zapomnieć...

Z ptaków musi to być indyk, bo ma najsilniejsze serce. Wraz z nim do gospodarstwa sprowadza się lód, bryły zakopuje w piwnicy. Indyka pasie się ziarnem. To królewski ptak. Pasują do niego: borówki, żurawina, pieczone jabłka.

Oprócz lodu potrzebny jest piec, który ma dobry ciąg, nawet gdy jest otwarty.

Kiedy przychodzi odpowiedni czas, upija się indyka ciężkim czerwonym winem, które sprowadza nań nieprzytomny sen bliski śmierci. Oczywiście nie można przesadzić – śmierć indyka na tym etapie jest błędem.

Tylko magik, a nie zwykły kucharz, potrafi śpiącego ptaka oskubać i wypatroszyć tak, by nie uszkodzić obiegu płucnego, który dodatkowo karmi mózg i serce. Mózg i serce chłodzone są kawałkami lodu; lód trzeba wymieniać często, by odpychał żar z wnętrza pieca, chronił przed nim głowę ptaka. Opieka się go częściami. Jeszcze śniąc, wjeżdża na stół. Tu Państwo budzą go śpiewem.

Otwiera oczy sparaliżowany, usmażony, martwy. Indyk Łazarz. Podobno ten strach, ta trwoga agonii przenika mięso, nadając mu niepowtarzalny smak. Srebrna szpilka wbita przez gospodarza w miejsce, gdzie czaszka łączy się z kręgosłupem, kończy ten niegodny cud.

Jedzcie i pijcie, oto ciało moje.

Następnego dnia są poprawiny. Indyche mięso drży w galarecie.

Służąca przyniosła z ogrodu pierwszy w tym roku bez. Białą. Trzonkiem noża rozbiła jego stwardniałe łodygi, by lepiej chłonał